



Jan Widacki

STULECIE
KRAKOWSKICH
DETEKTYWÓW

universitas

STULECIE
KRAKOWSKICH
DETEKTYWÓW

Jan Widacki

STULECIE
KRAKOWSKICH
DETEKTYWÓW

Wydanie nowe,
zmienione i rozszerzone

Kraków

Recenzent

prof. dr hab. Stanisław Waltoś

Opracowanie redakcyjne

Barbara Cabała

Projekt okładki i stron tytułowych

Sepielak

Na okładce

Tłok pieczętny c.k. Dyrekcji Policji w Krakowie z XIX stulecia

© Copyright by Jan Widacki and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2020

ISBN 978-83-242-3644-2

e-ISBN 978-83-242-6476-6

TAiWPN UNIVERSITAS

Wszystkie prawa zastrzeżone

Publikacja niniejsza, tak w całości, jak w części nie może być reprodukowana
w żadnej formie bez pisemnej zgody autora.

www.universitas.com.pl

*Pamięci następców Blumenstoka, Wachholza i Olbrychta,
moich przyjaciół i nauczycieli kryminalistyki
– krakowskich medyków sądowych –
profesorów Zdzisława Marka i Kazimierza Jaegermanna
– książkę tę poświęcam*

Przedmowa do obecnego wydania

Wydanie to jest wydaniem poniekąd nowym. Uzupełniłem go przede wszystkim dwoma rozdziałami, których nie było w poprzednich wydaniach. Są to rozdziały: *Kto to taki ten Piotrowski?* oraz *Sprawa Barbary Ubryk. Jak „furyje” sąd krakowski w niewinne anioły na nowo przerobił*. Piotrowski godzien jest wzmianki, była to bowiem czołowa postać „krakowskich detektywów”, za życia skrzywdzona, a po śmierci zapomniana. W dotychczasowych wydaniach zaledwie był wspomniany. Sprawa Barbary Ubryk była jedną z ciekawszych spraw kryminalnego Krakowa końca XIX wieku. Świadomie ją w dotychczasowych wydaniach pomijałem, uważałem bowiem, że została już wielokrotnie opisana, w tym przede wszystkim przez Stanisława Salmonowicza w *Pitavalu krakowskim*.

Jednak w aktualnych kontekstach wydała mi się ona godna przypomnienia, dla wykazania, że pewne mechanizmy, mimo upływu lat, zmian kulturowych, pozostają niezmiennie. Poza tym uznałem, że w całej sprawie warto zwrócić uwagę na pozycję biegłego sądowego, docenta Blumenstoka, i jego szczególnie trudną rolę niewynikającą bynajmniej z zawilości medyczno-sądowej czy psychiatryczno-sądowej materii.

Niezależnie od tych nowych rozdziałów uzupełniłem wątki dotyczące profesorów Józefa Rosenblatta i Iwana Tarchanowa. Od ostatniego wydania moja wiedza o nich znacznie się wzbogaciła i chciałem się tą wiedzą z Czytelnikami podzielić. Jest też w tym wydaniu kilkadziesiąt mniej lub bardziej drobnych poprawek i uzupełnień. Jest

to wynikiem tego, że od czasu pierwszego wydania *Stulecia krakowskich detektywów* (nakładem Wydawnictwa Prawniczego w roku 1987) nauki sądowe znacznie się rozwinęły. Genetyka sądowa, czyli badania DNA, zrewolucjonizowały badanie śladów biologicznych. Dziś z innej perspektywy niż ta możliwa przed trzydziestu laty patrzymy na dokonania epoki, którą nazwałem „stuleciem krakowskich detektywów”. Gdy pisałem tę książkę w latach osiemdziesiątych XX wieku, miałem zupełnie inne doświadczenia z kryminalistyką i medycyną sądową. Były to doświadczenia biegłego sądowego i nauczyciela akademickiego. Teraz do tych doświadczeń doszło ponad 25-letnie doświadczenie obrońcy w sprawach karnych. To zmienia ocenę wielu zdarzeń z epoki opisywanej w tej książce. Ale też ułatwia wyłuskanie z tego materiału historycznego tego, co najwartościowsze. Jest to więc w znaczącej mierze książka nowa. Ale są też pewne elementy stałe, niezmiennie, niezależne od doświadczenia i dystansu, z jakiego na nie patrzymy. Dopóki proces karny prowadzą ludzie, a nie roboty, bardziej lub mniej wyszukane i zaawansowane technologicznie narzędzia i metody wciąż mają tylko wartość pomocniczą. Nic nie zastąpi inteligencji tego, który tymi narzędziami czy metodami się posługuje. Nic nie zastąpi jego uczciwości i cywilnej odwagi. Nikt też nie zastąpi biegłego, mającego oparcie w nauce, także tej instytucjonalnej, i nic nie zastąpi niezawisłości sędziowskiej, niezbędnej do uczciwego wyrokowania.

* * *

Ostatnie wydanie *Stulecia krakowskich detektywów* ukazało się w roku 2006. Książkę tę wtedy wydało małe, ale zasłużone dla przypominania historii Krakowa Wydawnictwo „Radamsa” należące do nieżyjącego już Jana Rogoża, wielkiego znawcy i miłośnika Krakowa. Publikowane przez niego w miesięczniku „Kraków” monografie po-

szczególnych ulic Krakowa były fantastyczną i ulubioną lekturą wielu Czytelników tego pisma. Wydawnictwo „Radamsa” wydawało – jak się zdaje – głównie książki swego właściciela. Wszystkie o Krakowie. Dla mnie i mego *Stulecia krakowskich detektywów* Jan Rogóż uczynił wyjątek. Pracując nad nowym wydaniem tej książki, nie mogę nie wspomnieć życzliwie jego osoby.

Jan Widacki

Przedmowa do II wydania

Pierwsze wydanie *Stulecia krakowskich detektywów* ukazało się w roku 1987.

Nakład 30 tysięcy egzemplarzy rozszedł się szybko, a książka, sądząc po recenzjach, spotkała się z dobrym przyjęciem. O zapotrzebowaniu na nią świadczy dobitnie fakt, że na początku lat 90. ukazało się jej pirackie wydanie, które też szybko się rozeszło.

Rzymianie twierdzili, że historia jest nauczycielką życia.

Nie zawsze jest, ale na pewno może nią być. Jest nią wtedy, gdy jest obiektywna, gdy wyszukuje i analizuje błędy popełnione przed laty, gdy szuka związków przyczynowo-skutkowych w procesach historycznych. To daje wiedzę, co należy czynić lub czego czynić nie należy, aby nie doszło do niepożądanego skutku.

Historia nie zawsze jest przyjemna. Nie zawsze głaszcze narodową dumę. Ale tylko wtedy jest nauczycielką. Historia lukrowana, zmitologizowana, nie tylko nie jest nauczycielką życia, ale przeciwnie, jest niańką przedłużającego się niemowlęctwa. Zachęca do popełniania wciąż tych samych błędów, uzasadniając w dodatku konieczność ich popełniania tradycją. Jest pielęgniarką narodowego infantylizmu.

Historia to nie tylko wielkie zwycięstwa oręża. To nie tylko szlachetne cierpienie za Ojczyznę.

Historia to także praca uczonych na salach wykładowych i w laboratoriach, to praca kupców, rzemieślników, rolników i tylu innych

z reguły anonimowych ludzi. To praca i dzień powszedni tysięcy zwykłych szarych ludzi, nie tylko żywoty narodowych herosów.

To czyny wiekopomne i chwalebne, ale także podłe, zdradzieckie, czasem tylko małe, lecz jakże ludzkie. To wzloty geniuszu, ale i codzienna głupota. To czyny szlachetne, ale i zbrodnia. To wszystko było i jest. Zadaniem historii jest odtworzyć obraz prawdziwy.

W książce tej ukazuję fragment naszej historii oglądany z innej nieco niż zazwyczaj perspektywy. Z perspektywy sali sądowej, komisariatu policji, z uniwersyteckiego laboratorium.

To wszystko dzieje się na tle szerszym, społecznym, politycznym, jest jego jeśli nie zawsze konsekwencją, to przecież musi być oglądane zawsze w kontekście.

W tym swoistym teatrze najważniejsi są oczywiście aktorzy – ludzie. Ich postawy, osobowości. Jakże inni są oni od nas, współczesnych Polaków, ale zarazem jak podobni. Jak podobnie uwikłani w dzień powszedni, ale i w polityczny kontekst, i kontekst historii kraju i narodu. Życiorysy Hechella, Teichmanna czy Zejsznera mogłyby stanowić kanwę dla filmowych scenariuszy. Tym bardziej podstawą dla scenariusza mogłyby być rozmaite afery kryminalne, takie jak zabójstwo (samobójstwo?) mecenasa Lewickiego czy sprawa Barbary Ubryk.

Kraków drugiej połowy XIX i początku wieku XX. Miasto to jakże inne niż dziś, a przecież to samo. Czasy zupełnie inne. Ludzie inni, a jakby tacy sami, uwikłani w dramat życia.

Ze wzruszeniem przegląda się dziś archiwalne dokumenty, stare fotografie. Delikatnie bierze do ręki stare akta sądowe, karty zapisane pismem starannym, kaligraficznym. Nie ma już tych, którzy je zapisywali. Nie ma już tych, którzy byli bohaterami opisywanych wydarzeń.

Ze wzruszeniem patrzę w twarze wielkich profesorów uwiecznionych pędzlem malarza lub aparatem fotografa. W twarze moich

wielkich poprzedników, którzy odeszli dawno, a z których każdy *nie wszystkim umarł*. Hechell, Blumenstok, Wachholz...

Pierwszy z nich pochowany w czeskim Jeseniku – czy jego grób jeszcze istnieje? Dwaj pozostali – pochowani podobnie jak Teichmann – na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Wachholz dopiero od roku ma na grobie tabliczkę ze swym nazwiskiem. Tak często upominamy się o zaniedbane groby wielkich Polaków za wschodnią granicą. Groby wielkich profesorów krakowskich są zaniedbane na cmentarzu odległym o dwa kilometry od ich Uniwersytetu. W sercu kraju, który ponoć żyje historią. Kto się o nich upomni?

A może kiedyś żyjący ponoć swą tradycją Uniwersytet Jagielloński sam sobie przypomni o nich? Może przy okazji kolejnego jubileuszu, które tak lubi? Tylko czy wtedy te groby będą jeszcze do odnalezienia?

Od czasu, gdy zakończyło się nasze „stulecie krakowskich dektywów” niedługo minie następne stulecie. Kto wie, może oglądane z perspektywy będzie ono jeszcze ciekawsze? Choć sposób uprawiania nauki się zmienił. Wielkich badaczy indywidualistów zastępują dziś zwykle zespoły. Pracy naukowej w dziedzinach przyrodniczych nie da się już uprawiać w samotności. Na sukces trzeba pracować zbiorowo, w zespole. Coraz częściej w zespole międzynarodowym.

Może ktoś to nowe stulecie opisać? Zmieniają się realia, paradygmaty nauki. Tacy sami pozostają jednak ludzie. Jedni mądrzy, inni głupi. Jedni szlachetni, inni podli. A między jednymi i drugimi przeciwni. I tych zawsze było i jest najwięcej. Ludzie inni niż przed stuleciem, ale przecież podobnie myślący i czujący, podobnie zachowujący się w podobnych sytuacjach. I niestety, zawsze pozostanie zbrodnia i występki. Pochodne natury ludzkiej i funkcjonowania społeczeństwa.

Na zawsze też pozostanie kryminalistyka i inne nauki sądowe, bo zawsze będzie się dążyło do tego, by wyświecić mroki zbrodni,

bez względu na to, jakie będzie panowało podejście filozoficzne do przestępstwa i jaka polityka karna będzie realizowana.

W wybranym przeze mnie stuleciu, które nazwałem „stuleciem krakowskich detektywów”, pojawia się wiele wielkich nazwisk. Nie trzeba kolejny raz je powtarzać. Są znane nie tylko z kart tej książki. Czy ktoś wie, jak nazywali się kolejni austriaccy ministrowie sprawiedliwości tego stulecia? Ja nie. Ale nie mam wątpliwości, że wszyscy oni byli najgłębiej przekonani, iż to właśnie oni są najważniejsi, a to, co robią, ma zasadnicze znaczenie dla walki z przestępczością i dla prawidłowego wymiaru sprawiedliwości w krajach c.k. Monarchii, a narody tej Monarchii winne im są dozągonną wdzięczność i pamięć. I z tym przekonaniem zapewne pomarli.

Jan Widacki

Wstęp

Legendarny Sherlock Holmes pouczał kiedyś doktora Watsona, że idealny detektyw musi dysponować darem obserwacji, dedukcji i wiedzą.

O jaką wiedzę mu chodziło? Z wyjaśnienia danego przez niego Watsonowi, że jest autorem kilku monografii i podania ich tytułów: *O różnicy między popiołami rozmaitych gatunków tytoniu; O śladach stóp i sposobach ich utrwalania; O wpływie zawodu na kształt ręki* wynika, że miał na myśli wiedzę, jakiej dostarcza kryminalistyka i medycyna sądowa.

W wieku XIX ogół naukowych problemów związanych ze śledztwem mieścił się w ramach medycyny sądowej. Przez cały ten wiek rozdzielanie wspomnianych dyscyplin nie ma sensu. Ich nazwy występują synonimicznie. Dopiero z końcem stulecia zaczyna się coraz wyraźniej zarysowywać tendencja do wydzielenia nowej dyscypliny, która z końcem lat 20. minionego stulecia oddzieliła się już ostatecznie od medycyny sądowej. Tą dyscypliną jest kryminalistyka w dzisiejszym rozumieniu. Ale ten proces rozwoju nauki polegający m.in. na tym, że z jednej dyscypliny wyłaniają się kolejne, że oddziaływanie na siebie dwóch lub więcej dyscyplin może być katalizatorem powstania nowej dyscypliny wciąż trwa. Z medycyny sądowej wydzieliły się kryminalistyka i psychiatria sądowa.

Jeśli mówić tu będziemy o detektywach, to będziemy mieć na myśli tych, którzy budowali wiedzę kryminalistyczną, a zarazem stosowali ją w praktyce. Byli to głównie medycy sądowi. Wprawdzie

pierwsza katedra medycyny sądowej na ziemiach polskich powstała w Krakowie w roku 1804, ale prawdziwy rozwój tej dyscypliny rozpoczął się dopiero od momentu objęcia profesury przez Fryderyka Hechella. Przez najbliższe kilkadziesiąt lat Kraków był jedynym ośrodkiem polskiej myśli kryminalistycznej. Ośrodek ten koncentrował się wokół katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Okres ten w skali europejskiej Jurgen Thorwald nazwał „stuleciem detektywów”.

Jego książka pod tym tytułem zdobyła niezwykłą popularność i przetłumaczona została na wiele języków, w tym także na język polski.

Opisując dzieje światowej kryminalistyki, Thorwald wspomina tylko cztery nazwiska Polaków: Ludwika Teichmanna, Leona Wachholza, Stanisława Horoszkiewicza i Władysława Sobolewskiego. Trzej pierwsi z nich działali w Krakowie.

Jeśli zdecydowałem się pisać książkę o zapożyczonym od Thorwalda tytule, to nie dlatego, abym w swej próżności chciał się z nim porównywać, ale dlatego, że uważam, iż krakowską kryminalistykę można zestawić z kryminalistyką europejską, i że będzie to zestawienie interesujące.

Określenie „kryminalistyka krakowska” w warunkach zaborów znaczyło tyle, co „kryminalistyka polska”. Tu bowiem, nie licząc krótkiej przerwy, działał polski uniwersytet, a sądy orzekały po polsku. Tu ogniskowało się także niemal całe polskie życie naukowe.

Rozwój kryminalistyki, jako nauki praktycznej, stymulowany jest nie tylko ogólnym postępem nauk teoretycznych, ale także konkretnymi problemami praktyki.

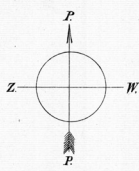
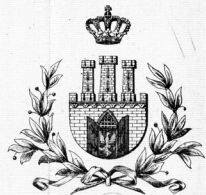
Konieczność wyjaśnienia wielkich spraw kryminalnych wpływała na rozwój tej dyscypliny w stopniu nie mniejszym niż odkrycia dokonywane w zaciszu laboratoriów. Wielkie sprawy były też zawsze testem wydolności tej dyscypliny. Dlatego też nie można przedstawiać historii kryminalistyki bez przedstawienia głośnych procesów.

To stulecie – od czasu objęcia katedry Medycyny Sądowej w Jagiellońskiej Wszechnicy przez Fryderyka Hechella, aż do czasu przejścia na emeryturę Leona Wachholza, które nazwałem „stuleciem krakowskich detektywów” – było okresem w naszej historii bardzo burzliwym. Nie było moją ambicją przedstawienie wyczerpująco tła historycznego omawianych wydarzeń. Przekraczałoby to moje kompetencje, a ponadto nie byłoby konieczne. Tylko tam, gdzie wydarzenia polityczne miały bezpośredni wpływ na losy krakowskiej kryminalistyki lub jej bohaterów, tło historyczne zostało wyraźniej nakreślone.

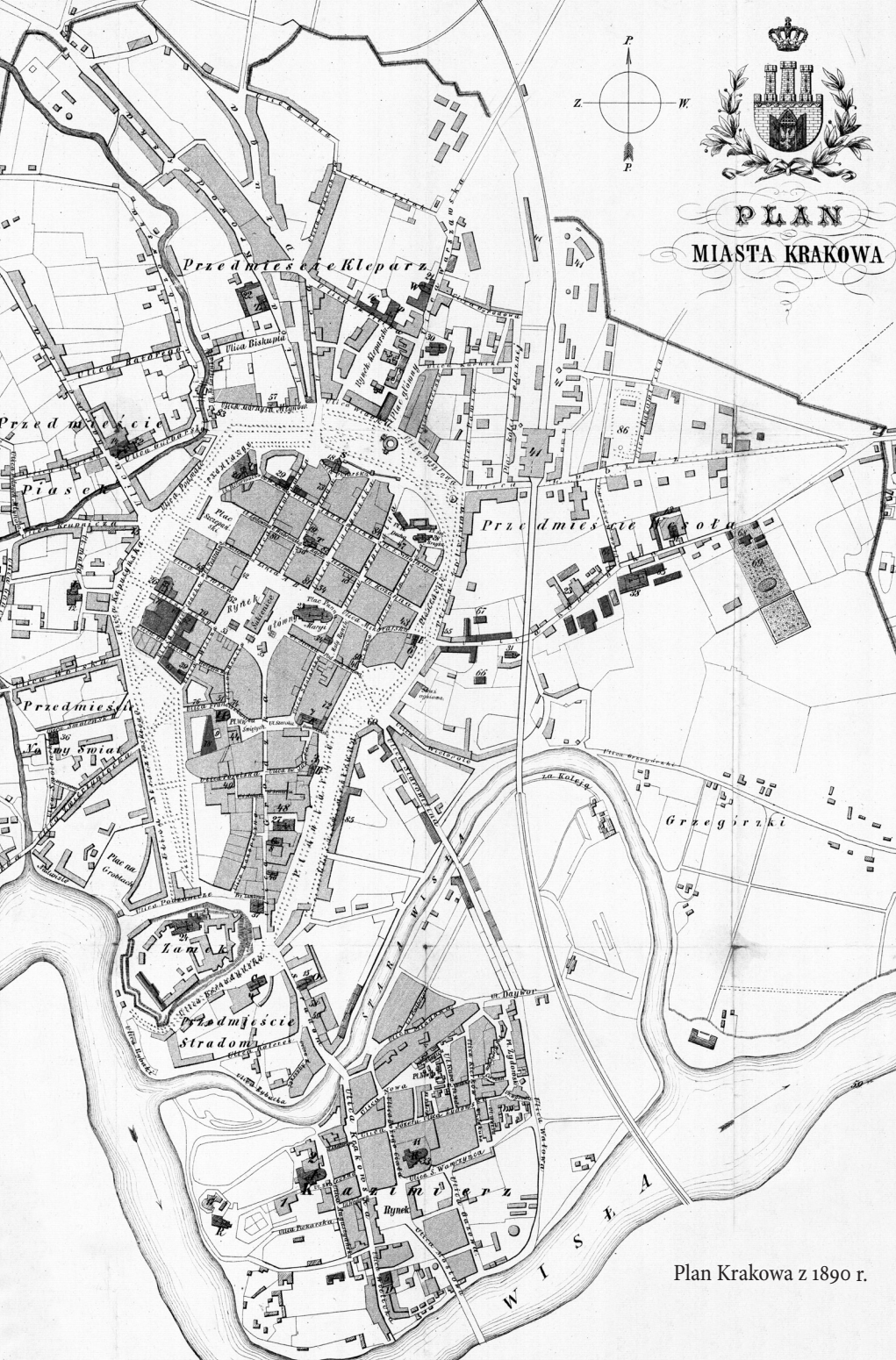
Zdaję sobie sprawę z niedoskonałości przedstawionego w tej książce obrazu. Na swoje usprawiedliwienie podać mogę to, że brak opracowań monograficznych wielu poruszanych w niej zagadnień. Opracowanie niektórych partii było ułatwione chociażby przez istnienie znakomitego *Pitavala Krakowskiego* Stanisława Salmonowicza, Jacka Szwai i Stanisława Waltosia, czy *Kazuistyki sądowo-lekarskiej* Leona Blumenstoka. Te drukowane źródła uzupełniałem materiałem archiwalnym. Napisanie innych partii książki wymagało studiów nieopracowanego dotąd materiału archiwalnego.

Pisałem tę książkę przede wszystkim z myślą o moich studentach. Mam nadzieję, że mimo wszystkich swych niedostatków, jej lektura zachęci ich do pilniejszego studiowania kryminalistyki i medycyny sądowej.

Wierzę, że efektem tych studiów będzie zmniejszenie *zawodności sposobów sądowego dochodzenia winy*, o które niegdyś walczył Wachholz i jego znakomici poprzednicy.



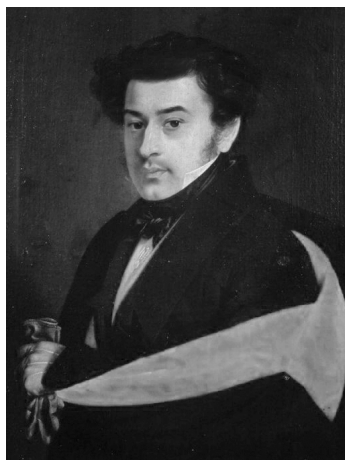
PLAN MIASTA KRAKOWA



Plan Krakowa z 1890 r.

Przybysz z Lipska, Fryderyk Hechell

Fryderyk Hechell (1795–1851)
– profesor medycyny sądowej, historii
medycyny i policji lekarskiej



Podobno jednym z największych kłopotów, jaki świat sprawia filozofom, jest nie ten, że wszystko w nim jest przypadkowe, ani nawet nie ten, że wszystko jest nieprzypadkowe, ale ten, że wszystko w świecie jest niezupełnie przypadkowe.

Przypadek, jeżeli takie w ogóle się trafiają, zrzędził, iż pewnego majowego popołudnia roku 1834 podróżujący po Europie 40-letni lekarz domowy z Litwy, Fryderyk Hechell wstąpił na kawę do lipskiej kawiarni „Kupiecka”. Ponieważ kelner ociągał się z podaniem kawy, gość z nudów sięgnął po zostawioną przez kogoś na stoliku gazetę. Zobaczywszy, że była to pruska gazeta „Staats Zeitung”, już miał ją odłożyć, tym bardziej że kelner postawił właśnie przed nim pachnącą kawę, kiedy nagle wzrok jego zatrzymał się na niewielkim ogłoszeniu umieszczonym na dole szpalty. Ogłoszenie pisane było po polsku.

Uniwersytet Krakowski ogłaszał konkurs na obsadzenie dwóch katedr: akuszerii oraz historii medycyny wraz z medycyną sądową i policją lekarską.

Hechell zamyślił się. Już od 14 lat przebywał na emigracji. O powrocie do Ojczyzny przestał myśleć, aż tu nagle to ogłoszenie!

Ojczyzna, Kraków i przepędzone w nim przed 13 laty chwile, katedra profesorska i pożycie między rodakami na ziemi ojczyznej, do której od tyłu już lat wzdycham, w żywych barwach przed oczami mymi stanęły – zapisał później w pamiętniku.

Decyzję podjął od razu, w kawiarni: napisze do Krakowa, zgłosi się na konkurs. Stanie do walki o katedrę historii medycyny wraz z medycyną sądową i policją lekarską. Nie dopił kawy, śpiesząc do domu. Po drodze rozmyślał:

– Czemu nie mam tej katedry otrzymać? Mam wszystkie do tego wymagane kwalifikacje, jestem Polakiem i doktorem medycyny. Przed kilku laty, jakby duchem przeczucia tknięty w Berlinie wykładów z tych przedmiotów na nowo słuchałem...

Jeszcze tego samego dnia wysłał do rektora Uniwersytetu Krakowskiego list, w którym pisał, że chce stanąć do konkursu. Oczekiwanie na odpowiedź skracał, wertując najnowsze podręczniki medycyny sądowej i policji lekarskiej, tudzież historii medycyny. Odpowiedzią na jego zgłoszenie były aż dwa listy z Krakowa. Jeden, podpisany przez rektora, uprzejmie zapraszał go do udziału w konkursie, informując zarazem, że termin konkursu został wyznaczony na grudzień.

Drugi list, przez nikogo niepodpisany, ostrzegwał go, aby pod żadnym pozorem nie odważył się do Krakowa przyjeżdżać i do konkursu stawać. Anonim mógł pochodzić tylko ze środowiska uniwersyteckiego. Komuż innemu mogło zależeć na obsadzeniu katedry i ktoś spoza Uniwersytetu mógł wiedzieć nie tylko, że on stara się o katedrę, ale że w ogóle istnieje?

Po latach, znając już krakowskie środowisko i panujące w nim układy, Hechell skonkretyzuje swe podejrzenia co do autora anonim.

Obraz Ojczyzny przez kilkanaście lat nieoglądanej i wytęsknionej maluje się zawsze w nieco wyidealizowanych kolorach. Jakże przykro odczuć więc musiał Hechell ten anonim. A więc to takie jest środowisko tej starej *Almae Matris*? Środowisko, z którym chce związać swoje losy? Entuzjazm w jednej chwili ostygł. Wahał się, czy do konkursu stawać. Po długich przemyśleniach zdecydował się mimo wszystko do Krakowa przyjechać.

24 listopada 1834 r. Hechell przybył do Krakowa i zatrzymał się w oberży Knotza „Pod Królem Węgierskim” przy ul. św. Jana, gdzie, jak zapisał w pamiętniku, umieszczono go w izbie brudnej i zimnej, choć oberża Knotza niewątpliwie była najelegantszą w Krakowie. „Gazeta Krakowska” z 24 listopada 1834 r. odnotowując jego przybycie do miasta (w rubryce „przyjechali do Krakowa”), przekręciła nazwisko, donosząc, że do podwawelskiego grodu zjechał *Geschell Fryderyk, doktor z Pruss*. Tak więc i spotkanie z miastem nie wypadło najsympatyczniej.

Od Macieja Knotza przeniósł się Hechell na ul. Szpitalną, gdzie zamieszkał u znajomych, przez blisko miesiąc czekając na konkurs. Termin konkursu ustalono ostatecznie na 19 grudnia.

W dniu tym musiał kandydat na katedrę w obecności wszystkich profesorów Wydziału Lekarskiego, z trzech urn, z których każda zawierała pytania z jednej dyscypliny katedrze przypisanej, wyciągnąć po jednym pytaniu i udzielić na nie obszernej pisemnej odpowiedzi. Konkurs trwał od godziny 8 rano aż do 10 wieczorem.

Na następną dzień odbyła się druga, ustna część konkursu. Kandydatowi zadano pytanie, na które oczekiwano odpowiedzi w formie wykładu. Pytanie brzmiało: *Jakie powinny być przymioty lekarza sądowego i jakie są sposoby pomocnicze, które w robieniu śledztw i obdukcji sądowych są pomoc nieść powinny?*

Odpowiedzi Hechella oczarowały profesorów Wydziału. Ich opinia o kandydacie, wraz z jego opracowaniami pisemnymi, szła jeszcze, zgodnie z procedurą, do Uniwersytetu Wiedeńskiego w celu uzyskania dodatkowej opinii. Tymczasem profesorowie, zachwycając się piękną formą i głęboką treścią odpowiedzi kandydata, pytali jeden drugiego: kim właściwie jest ten Hechell i skąd się tu wziął? Nikt go tu nie znał i fakt ubiegania się o katedrę przy braku znajomości i stosunków w Krakowie zaskakiwał na równi, a może bardziej, niż głęboka wiedza, inteligencja i erudycja kandydata.

Kim był Fryderyk Hechell i co robił, zanim go los, już jako dojrzałego mężczyznę, sprowadził do Krakowa?

Urodził się 30 marca 1794 r. w Wilnie jako syn siodlarza, Jana Hechella, Niemca z Inflant, i Tekli z domu Grunwald. Matka – jak można sądzić z nazwiska – pochodziła wprawdzie z rodziny niemieckiej, ale była Polką, po polsku wychowującą dzieci. Ojciec, pochłonięty cały dzień ciężką pracą, wieczory spędzał przy kieliszku i niewiele troszczył się o wychowanie dzieci. Kiedy w czasie odwrotu Napoleona z niefortunnej wyprawy rosyjskiej na Litwie rozszalała się zaraza, przywleczona przez dziesięciokonaną armię, ofiarą jej padł Jan Hechell. Odtąd ciężar utrzymania licznej rodziny spada głównie na barki najstarszego syna, Fryderyka. Młodzieniec jest bardzo zdolny, naturę ma wrażliwą, nauka idzie mu znakomicie. Pracuje jako nauczyciel domowy, żyje bardzo skromnie, pomaga rodzinie. Uniwersytet Wileński przeżywał wówczas swój najlepszy okres. Rektorem był Jan Śniadecki, profesorem chemii – jego brat Jędrzej, historię powszechną zaś wykładał Joachim Lelewel.

Wilno staje się w tym okresie nie tylko najważniejszym ośrodkiem naukowym, ale w ogóle centrum polskiego życia duchowego. Nic też dziwnego, że spędzone tu lata wywarły tak wielki wpływ na osobowość i duchową formację Fryderyka Hechella. Nie wiemy, czy miał jakiś związek bezpośredni z filomatami, choć poznał w tym czasie Mickiewicza (z którym po latach spotkał się w Berlinie, by wspól-

Tablica upamiętniająca, że w kamienicy Ankwiczów (róg ul. Brackiej i ul. Gołęziej) mieszkał w latach 1834–1851 prof. Fryderyk Hechell



nie wspominać lata młodości). Jeśli takiego związku nawet nie miał, to i tak żył tą atmosferą, która filomatów i filaretów zrodziła. Jak wynika z jego pamiętników, doskonale rozumiał scenę balu u Senatora z *Dziadów* i znał osobiście większość przewijających się tam postaci.

Hechell studiował zrazu na Wydziale Filozoficznym nauki przyrodnicze, ale uczęszczał też równocześnie na wykłady historii Lelewela, ponadto na wykłady z literatury łacińskiej sławnego już wówczas Gotfryda Ernesta Groddecka, uznanego później za ojca polskiej filologii klasycznej.

Ciężka sytuacja materialna zmusiła jednak Hechella do porzucenia nauk przyrodniczych. Mając już stopień kandydata filozofii rozpoczął – za namową przyjaciół, a wbrew upodobaniom, co później szczerze wyzna – studia medyczne. Studia te bowiem dawały lepsze perspektywy na przyszłość, jako że zawód lekarza zabezpieczał byt.

Z medycyną sądową zetknął się Hechell po raz pierwszy na trzecim roku studiów medycznych. Wykładał ją Jan Lobenwein, Niemiec popierany przez władze rosyjskie. Lobenwein był profesorem anatomii, na medycynie sądowej się nie znał. Wykład prowadził po łacinie, dwa razy w tygodniu, po jednej godzinie. Wykład polegał na streszczaniu niemieckiego, już przestarzałego podręcznika i to tylko tych

jego partii, które wykładowcy, jako anatomowi, były najbliższe. Mówił więc Lobenwein praktycznie tylko o obdukcji i sekcji. Inne działy medycyny sądowej albo powierzchownie przelatywał, albo w ogóle pomijał.

Jego studenci – wśród nich Hechell – nie usłyszeli nic o badaniu osób żywych ani o podstawach toksykologii; nie usłyszeli także niczego z podstaw psychopatologii sądowej, która wówczas traktowana była jako część medycyny sądowej.

Po latach Hechell zapisze taką charakterystykę Lobenweina: *Professor ten zarozumiały i napuszony miernym bardzo był nauczycielem i małego bardzo dla uczącej się młodzieży użytku*. Inną cechą odbierającą Lobenweinowi popularność był jego niechętny stosunek do Polaków i do polskości (*lubo polski chleb jadł, Moskalom jednak sprzyjał*), co doceniły rosyjskie władze oświatowe, obdarzając go stanowiskiem rektora po usunięciu z tej funkcji Jana Śniadeckiego.

Hechell skończył studia medyczne w 1818 r., uzyskując tytuł magistra medycyny, a w miesiąc później napisał dysertację *De zostere*, leczył też trzech chorych w klinice lekarskiej i tyłuż w chirurgicznej (był to warunek dopuszczenia do doktoratu) i w kwietniu 1818 r. został doktorem medycyny. Po uzyskaniu dyplomu doktora opuścił Wilno, by przez trzy lata prowadzić praktykę lekarską w odległej o 13 mil Uciechowie. W 1820 r. kolega z lat szkolnych, bardzo bogaty ziemianin litewski, Józef Straszewicz, zaproponował mu odbycie wspólnej podróży po Europie Zachodniej. Podróż ta, rozpoczęta na koszt Straszewicza, który Hechella zabrał z sobą nie tylko w charakterze osobistego lekarza, ale też jako towarzysza i przyjaciela, zmieniła się wkrótce w wieloletnią emigrację.

Z Wilna podążył do Krakowa.

W Krakowie znalazł się po raz pierwszy. Miasto to, podówczas stolica małej Rzeczypospolitej Krakowskiej, jak potocznie już wtedy nazywano dziwny twór kongresu wiedeńskiego, o urzędowej nazwie: „Wolne, Niepodległe i Ścisłe Neutralne Miasto Kraków wraz

z Okręgiem”, liczyło niewiele ponad 23 tysiące ludności. Ten skrawek niby wolnej polskiej ziemi, oddany pod opiekę trzem zaborcom równocześnie, urzekł Hechella swymi zabytkami. Znacznie gorsze wrażenie zrobiła na nim mieszcząca się w szpitalu św. Łazarza klinika uniwersytecka. *W porównaniu do wileńskiej, zdawała mi się najokropniejszą dziurą, dla ostatnich żebraków przeznaczoną* – zapisał w swym pamiętniku.

Z Krakowa udał się do Wiednia, stamtąd przez Węgry do Włoch. Zatrzymując się na dłużej w Bolonii, zwiedził Florencję (gdzie poznał Michała K. Ogińskiego i Leonarda Chodźkę), by przez Genuę dotrzeć do Rzymu. Z Wiecznego Miasta, urzeczony antykiem, przez Neapol udał się na Sycylię, stamtąd na Korsykę. Odwiedził też Maltę, znów był w Rzymie, gdzie tym razem zatrzymał się na dłużej. Zwiedzał zabytki, studiował kulturę antyku i renesansu, odwiedzał szpitale i zakłady naukowe, a przede wszystkim uczył się włoskiego. W krótkim czasie doszedł do takiej w nim biegłości, że Włosi nie rozpoznawali w nim cudzoziemca. W roku 1824 opuścił ostatecznie Włochy i przez Szwajcarię udał się do Francji. W czasie dłuższego pobytu w Paryżu wielokrotnie odwiedzał *Académie Royale de Médecine* oraz *École de Médecine et de Chirurgie*, w której poznał Mathieu Josepha Bonaventure Orfilę, uchodzącego już wówczas za ojca toksykologii. W chwili, gdy Hechell przekraczał próg laboratorium Orfili, ten miał już za sobą kilkunastoletnią praktykę toksykologiczną i kilka wydanych dzieł z tej dziedziny, z których każde, bez odrobiny przesady, uznać należy za pionierskie. Przed trzynastu laty opublikował swoje wykłady na temat trucizn pod tytułem: *Traité des poisons or toxicologie générale* (*Traktat o truciznach, czyli toksykologia ogólna*).

Opierały się one na eksperymentach ze zwierzętami i na doświadczeniach laboratoryjnych. Wzbogacały więc tradycyjną medycynę sądową nie tylko o nowy dział wiedzy, ale wprowadzały do niej również nową, niepraktykowaną tam dotąd metodę badań – eksperyment. W dwa lata później ukazał się drugi tom *Traktatu*, zaś w 1817

r. nowe dzieło: *Elémentes de chimie appliquée a la médecine et aux arts* (*Elementy chemii stosowane w medycynie i sztukach*). Po kolejnych dwu latach Orfila był już profesorem chemii sądowej. Na krótko przed spotkaniem z Hechellem zakończył wydawanie *Leçons de médecine legale* (*Wykłady medycyny prawnej*), akcentując już w tytule związek swej dyscypliny z naukami prawnymi. Ale o wielkości Orfila wiedzieli na razie wtajemniczeni. Szeroka publiczność nie czyta fachowych monografii, tym bardziej nie wie, czy są one pionierskie, czy nie. Opinie toksykologów nie były też wciąż jeszcze przekonujące dla sądów. *Dla przysięgłych »żółty osad«, siarkowódór, amoniak – były niezrozumiałymi pojęciami, zalatującymi kuchnią czarownic – jak zapisał jeden z historyków kryminalistyki. Zdarzały się więc wyroki wydawane wbrew opinii toksykologów, jawnie lekceważące wyniki ich prac. Ilu niewinnych ludzi poszło przez to na szafot i ilu zbrodniarzy uniewinniono, dziś policzyć nie sposób. Toteż nie wielkie dzieła, czytane i doceniane przez fachowców, ale udział w wielkich procesach był kluczem do sławy i popularności, zwłaszcza jeśli biegły swoją opinią czynił zadość oczekiwaniom publiczności.*

Na krótko przed przybyciem Hechella do Paryża, Orfila wystąpił jako biegły w procesie lekarza Edmunda Emanuela Castaing'a, oskarżonego o otrucie braci Augusta i Hipolita Balletów. Jego opinia, że z *wykazanych faktów nie można wnioskować, aby otrucie miało miejsce, zarówno jak też, że otrucia nie było* – nie zadowoliła chyba sądu, a publiczności wydała się po prostu wykrętna.

Młody, 37-letni, Orfila, wybitny medyk sądowy, a przy tym bezsprzecznie pierwszy toksykolog Europy, musiał wyrzucić spore wrażenie na przybyszu z Wilna. Dowodem tego będzie później to, jak wiele miejsca w swych wykładach poświęcił Hechell truciznom i otruciom.

Ale nasz podróżnik po kilku miesiącach opuścił Paryż, odwiedził na krótko Londyn, przez Belgię udał się do Niemiec. W maju 1825 r. dotarł do Berlina. Dłuższy pobyt w tym mieście pozwolił mu nie tylko

doskonalić język niemiecki (którego gruntownej znajomości, jak widać, z domu nie wyniósł), ale także zapisać się na niektóre interesujące wykłady w berlińskim Uniwersytecie. W tym czasie berlińskie kręgi intelektualne, w szczególności zaś młodzież studencka, miały swego idola w Georgu Wilhelmie Heglu, a jego wykłady filozofii znajdowały licznych słuchaczy. Dając się zwieść modzie, zaczął Hechell uczęszczać na te wykłady. Wysłuchiwał kilku, z chodzenia na dal-
sze zrezygnował, co tak uzasadnia w swoim pamiętniku: *Byłem ciekawy tego uczonego męża i kilka razy odwiedziłem jego lekcje, ale nie posiadając dobrze języka niemieckiego, nie mogłem go zrozumieć (...), ale i ci co dobrze po niemiecku umieją i parę lat go słuchają, jeszcze zupełnie zrozumieć nie mogą.* Oprócz kilku wizyt na wykładach Hegla, ze znacznie większą pilnością uczęszczał Hechell na wykłady z historii Kościoła i egzegetyki biblijnej. Nie bardzo wiadomo czym – poza istic renesansową wszechstronnością – uzasadnić by można taki dobór przedmiotów. Pobyt w Berlinie przerwał na krótko, udając się do Danii i Szwecji. Gnany ciekawością świata dotarł aż za krąg polarny, do Laponii. Ze Skandynawii wraca znów do Berlina. W roku 1826 w Berlinie ponownie zapisał się na kilka wykładów uniwersyteckich. Ich dobór może wydać się nieco dziwaczny, były to bowiem wykłady z geografii powszechnej, z mitologii północy, z teologii, wreszcie z kilku dziedzin medycyny.

Wśród tych ostatnich znalazł się wykład z medycyny sądowej prowadzony przez prof. Johanna Ludwiga Caspera, i policji lekarskiej prowadzony przez prof. Karola Wagnera. Wybór tych dwóch ostatnich wykładów uzasadnił Hechell krótko i przekonująco: *Medycynę sądową i policję lekarską dlatego wybrałem, żem pierwszą w Wilnie bardzo niedokładnie przez prof. Lobenweina wykładaną miał, drugą, żem w Wilnie zupełnie nie słyszał, gdyż prof. Bécu, lubo wykład miał sobie przypisany, tego atoli z lenistwa nie czynił.*

Johann Ludwig Casper był o dwa lata młodszy od Hechella. Sławę europejską miał zdobyć dopiero za lat z górą dwadzieścia, kiedy

ukazą się: *Gerichtliche Leichenöffnung* (Sądowe obdukcje zwłok) czy *Praktisches Handbuch der gerichtlichen Medizin* (Praktyczny podręcznik medycyny sądowej), dokonując przełomu w światowej medycynie sądowej. Na razie pracował w najokropniejszych warunkach, początkowo w starym gmaszysku berlińskiego Zakładu Anatomii, który nie ujawniając swej zawartości, mógł straszyć samą architekturą i wyglądem zewnętrznym, później w improwizowanych kostnicach mieszczących się w piwnicach różnych gmachów. Z uporem człowieka przekonanego o swej racji znosił ciężkie warunki pracy i upokorzenia, jakich nie szczędzili mu koledzy, uprawiający „lepsze”, kliniczne działy medycyny. Im byli głupszy, tym z większą lubością zastanawiali się, czy medycyna sądowa w ogóle jest nauką, czy też intruzem, pasożytem czerpiącym ożywcze soki z różnych „szlachetnych” działów medycyny, by spożytkować je w celach tak niegodnych i naukowo wątpliwych, jak wyjaśnianie zbrodni. Na tym właśnie etapie drogi Caspera na jego wykłady zapisał się Hechell. W swoich pamiętnikach na ich temat ani na temat profesora nic nie pisze. O wszystkich berlińskich wykładach zapisze tylko ogólną uwagę, że są przez profesorów czytane ze skryptu, a przez uczniów pilnie przepisywane, co trochę go śmieszyło, trochę drażniło.

Program medycyny sądowej Caspera był później widoczny w działalności naukowej Hechella, który przeszczepił go w swoim czasie twórczo na grunt polski.

W Berlinie dowiedział się Hechell o wybuchu powstania listopadowego, którego losy śledził z napięciem, a po klęsce utrzymywał żywe kontakty z emigrantami, spotykając się m.in. z Mickiewiczem, Odyńcem, Garczyńskim. Lata 1830–1834 spędził w Niemczech, mieszkając na zmianę w Berlinie, Dreźnie i Lipsku. Tam poznał się i zaprzyjaźnił się z Wimmelami, rodziną swej przyszłej żony, u których przebywał jako nauczyciel domowy, trochę jako lekarz, ale najbardziej chyba jako przyjaciel pani Wimmel (z którą będzie się mógł ożenić dopiero w wiele lat później).

Kiedy zwabiony ogłoszeniem o konkursie na stanowisko profesora w Uniwersytecie Krakowskim zjechał do podwawelskiego grodu, był już człowiekiem dojrzałym, wszechstronnie wykształconym, bywałym w świecie, znającym kilka języków.

Katedra Medycyny Sądowej, którą w wyniku konkursu otrzymał Fryderyk Hechell, istniała już od lat trzydziestu i należała do najstarszych w Europie, a była niewątpliwie najstarszą na ziemiach polskich. Pierwszym profesorem medycyny sądowej był Jerzy Knobloch, poprzednio fizyk miejski. Stanowisko swoje objął na przełomie lat 1804 i 1805. Medycyna sądowa wykładana była wówczas łącznie z policją lekarską (później katedrze przypisano jeszcze historię medycyny). Wykład swój opierał Knobloch na niemieckich podręcznikach z XVIII wieku. Jako medyk sądowy nie dokonał niczego wielkiego, choć pozostawił po sobie dobrą pamięć jako dziekan Wydziału Lekarskiego. Po włączeniu Krakowa do Księstwa Warszawskiego, Knobloch ustąpił ze stanowiska i przeniósł się na prowincję, gdzie prowadził praktykę lekarską.

Po wielu latach jego syn, nauczyciel czteroklasowej szkoły św. Barbary, będzie w niej uczył małego Leona Wachholza, który później obejmie kierownictwo krakowskiej katedry i doprowadzi ją do najwyższego światowego poziomu. Po odejściu Knoblocha, medycynę sądową wykładało kilku profesorów, z których tylko Sebastian Girtler czynił to przez dłuższy czas (1809–1811, a później 1815–1826) i z pożytkiem dla dyscypliny. Ważnym osiągnięciem Girtlera było dokonanie przekładu nowoczesnego, jak na owe czasy, niemieckiego podręcznika Jana Piotra Brinckmanna *Wykaz prawideł, podług których przy sądowych obdukcjach medycy lub chirurgowie tzw. Visa reperta spisywać i sporządzać mogą* (Kraków 1811). Girtler sporządził też manuskrypt własnych wykładów, których nie ogłosił drukiem. Z manuskryptu tego – po śmierci Girtlera – odczytywał wykłady Julian Sawiczewski, z którym konkurencję do katedry wygrał Hechell.

Tak więc przy samym końcu roku 1834 rozpoczyna się okres działalności naukowej Fryderyka Hechella. Okres w sumie krótki, bo zaledwie 16-letni. Musiał go dzielić między trzy dyscypliny lekarskie, których był równocześnie profesorem. W każdej z nich pozostawił po sobie dzieła znaczące. Napisał kilka książek. Obszerne dzieło *O koniecznej potrzebie i użyteczności policji lekarskiej* wydane zostało w Krakowie w 1842 r. W dwa lata później ukazała się książka *O pijaństwie, o jego szkodliwych skutkach i środkach zapobieżenia owemu*, będąca niewątpliwie pierwszą polską obszerną pracą z zakresu alkoholologii społecznej. Obydwie poprzedziła znakomita, niezwykle erudycyjna monografia *Historyczno-krytyczne badanie początku i wzrostu medycyny sądowej jako oddzielna gałąź nauki lekarskiej uważanej* (Kraków 1839), w której autor umiejętnie kojarzy historię medycyny z medycyną sądową. Ale niewątpliwie największe zasługi położył Hechell dla medycyny sądowej. Napisał z jej zakresu dwa obszerne dzieła, które drukiem się nie ukazały i dziś spoczywają w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Jagiellońskiej. Pierwsze z nich to *Zasady medycyny sądowej*, liczące ponad 400 stron rękopisu. Drugie to podręcznik *Medycyna sądowa – podług najnowszych zasad i doświadczeń w tej gałęzi nauk lekarskich poczynionych ułożona dla uczniów Wydziału Lekarskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim*. Są to dzieła bezsprzecznie nowatorskie, które gdyby zostały wydane, postawiłyby swego autora niewątpliwie w czołówce europejskiej. Medycynę sądową rozumie Hechell jako (...) *dyscyplinę, która uczy, jak za pomocą prawideł z nauk przyrodniczych i sztuki lekarskiej wyjętych wątpliwe pytania sądowe wyjaśniać i rozstrzygać się mają*. Jej celem *nie jest ratowanie chorych, ale raczej coraz większe udoskonalenia prawodawstwa, atoli medycyną dlatego być nie przestaje, ponieważ ze wszystkich nauki lekarskiej gałęzi wiadomości swoje czerpie i na nich się opiera*.

W czasie, kiedy Hechell obejmował katedrę, medycyna sądowa na zachodzie Europy emancypowała się właśnie na samodzielny dys-

cyplinę lekarską. Jego zachodnioeuropejscy rówieśnicy, pionierzy medycyny sądowej: Johann Ludwig Casper (ur. 1796), Mathieu Joseph Bonaventure Orfila (ur. 1797) czy Marie Guillaume Alphonse Devergie (ur. 1798) potrafili oprzeć ją już na samodzielnych empirycznych podstawach, choć wciąż jeszcze nie mogli doczekać się uznania od swych kolegów klinicystów czy anatomopatologów. Podstawą twierdzeń nowej dyscypliny były obserwacje setek zbadanych przypadków. Obserwacje te, spisywane w podręcznikach, były dopiero podstawą do uogólnień, na których opierały się twierdzenia naukowe i reguły postępowania biegłych i śledczych. Kończyła się era profesorów medycyny sądowej, którzy na podstawie wiedzy klinicznej lub anatomicznej zdroworozsądkowo spekulowali na tematy medyczo-sądowe. To o nich Casper w przedmowie do swojego *Handbuch der Gerichtlichen Medizin* w 1857 r. napisze: *To nie zarzut, lecz stwierdzenie, że medycynę sądową, zwłaszcza w Niemczech, opracowywali w większości ludzie, którym duże wykształcenie naukowe, pilność i odczytanie nie potrafiły zastąpić braku obserwacji.* Kończyła się era medyków sądowych, którzy *nigdy nie dokonali sekcji zwłok, nie przekroczyli progu więzienia, nigdy nie badali rzekomo zgwałconej kobiety.*

Orfila we Francji kazuistyczną metodę medycyny sądowej wzbogacił jeszcze eksperymentem w toksykologii. Hechell te nowe tendencje medycyny sądowej rozumiał i podzielał ich słuszność. Wiedział, że bez materiału empirycznego nie będzie w stanie rozwijać powierzonej mu dyscypliny. Rozpoczyna więc starania o materiał.

Z jego inicjatywy dziekan przedstawił komisarzowi zakładów naukowych memoriał, domagający się umożliwienia profesorowi medycyny sądowej i jego studentom udziału w sekcjach. Potrzebę tę tak uzasadnia: (...) *gdy żadna teoria nie ma wartości, jak skoro nie jest wpływem praktyki i nawzajem do praktyki nie prowadzi; gdy nauczanie i pojęcie pierwszej bez demonstracji ostatniej równie czczem jest jak mozolnem.* W wyniku tych starań uzyskał zgodę na uczestnicze-

nie w sekcjach. Odtąd, wraz ze swymi studentami, regularnie bywał obecny przy sekcjach (które wykonywali głównie fizycy miejscy, później także anatomopatolodzy) i obdukcjach. Medycyna sądowa zrobiła krok we właściwym kierunku, ale jeszcze wciąż nie była u swego celu, jakim było oddanie jej wszystkich sekcji sądowych i policyjno-sanitarnych. Cel ten osiągnięto dopiero w kilka lat po śmierci Hechella, jednak niewątpliwie także dzięki jego staraniom. Nawet to, co udało się Hechellowi osiągnąć – możliwość asystowania wraz ze studentami przy sekcji – to było bardzo wiele, jak na lata trzydzieste XIX wieku. Właściwie niewielu profesorów medycyny sądowej w Europie – może poza Casperem – osiągnęło więcej. W Wiedniu medycy sądowi aż do 1875 r. byli tylko widzami podczas sekcji wykonywanych przez anatomopatologów, zaś przed 1830 r. po prostu wyrzucano ich wraz ze studentami z sal sekcyjnych, argumentując, że mogą być wśród nich nawet osoby podejrzane o morderstwo.

Innym osiągnięciem Hechella było to, że potrafił oprzeć medycynę sądową na szerokich humanistycznych podstawach, że dostrzegł jej związek nie tylko z sądownictwem i wymiarem sprawiedliwości, ale także z prawem i prawodawstwem. Umiał zaszczerpić krajowej medycynie sądowej wszystkie najwartościowsze nurty, jakie poznał w czasie swych podróży w zakładach niemieckich i francuskich. Dzięki niemu krakowska medycyna sądowa stanęła od razu na europejskim poziomie.

Ówczesna nauka europejska zaczyna interesować się przestępstwem i przestępcą w sposób odmienny niż czyniła to dotąd. Zaczyna zajmować się nimi nie tylko jako fenomenami zastanymi, ale próbuje wyjaśnić przyczyny ich powstania.

Franz Joseph Gall (1758–1828) publikuje w 1825 r. 6-tomową pracę zawierającą ostateczną wersję jego poglądów o związkach pomiędzy kształtem i budową czaszki, które jego zdaniem determinują kształt mózgu, ten zaś decyduje o osobowości, cechach charakteru i skłonnościach jej właściciela. Zatem skłonności przestępcze można

rozpoznawać, analizując kształt czaszki. Po raz pierwszy poglądy swe prezentował Gall już w 1791 r.

Frenologia – bo taką nazwę nosiła teoria Galla – nie zdobywa zbyt wielkiej popularności w Europie, podbija za to Amerykę.

Amerykański lekarz, Charles Caldwell (1772–1853) w roku 1824 wydaje *Elements of Phrenology*, zaś bracia Lorenzo i Orso Fowlerowie w 1837 r. publikują książkę *Phrenology Proved, Illustrated and Applied*, która bije rekordy popularności, uzyskując w trzy lata aż dziewięć edycji. Zaczynają też wydawanie czasopisma „American Phrenological Journal and Miscellany”, które znacznie przeżyje nie tylko swych pierwszych wydawców, ale nawet samą frenologię, ukazując się aż do roku 1911!

Pojawienie się teorii, dopatrującej się przyczyn przestępstwa w cechach osobniczych, zaniepokoiło wszystkich tych, którzy racji dla odpowiedzialności dopatrywali się w istnieniu wolnej woli. Tego rodzaju obawy argumentowano – jak podaje A. Ysabeau w książce z 1876 r. *Zasady fizjognomiki i frenologii. O poznawaniu charakteru z rysów twarzy i kształtu głowy* – w sposób następujący: *Jeżeli rzeczywiście, jak chcą frenologowie, dobre lub złe skłonności człowieka zależą od zwojów mózgowych i jeżeli siła tych skłonności jest niezwalczoną, wówczas człowiek nie ma wolnej woli, nie ma władzy nad sobą i może popełniać występki i zbrodnie nawet, byleby tak zręcznie, aby prawo dosięgnąć go nie zdołało, i może powiedzieć na swoje usprawiedliwienie: Albowiem przewinił? Mam na czaszce guz występku i zbrodni, nie mogę więc postępować inaczej.*

Frenologowie zaś, ustami prof. Ysabeau, odpowiadali: (...) *w miarę, jak istota ludzka rozwija się i wzrasta, jak z dziecka staje się młodzieńcem, a następnie człowiekiem dojrzałym, stopniowo zaczynają się objawiać usposobienia i skłonności dodatnie, które trzeba ochraniać i rozwijać, jako też popędy ujemne, które tępić i przytłumiać należy.* A zatem skłonności wrodzone można, zdaniem frenologów, korygować przez wychowanie.

Informacje o poglądach szkoły frenologicznej dotarły na ziemię polskie niemal natychmiast. Już w roku 1805, zatem jeszcze przed ukazaniem się dzieła Galla, Jędrzej Śniadecki w „Dzienniku Wileńskim” (t. I, nr 1, s. 16–43) opublikował artykuł pt. *Krótki wykład systemu Galla z przywołaniem niektórych uwag nad jego nauką*. Śniadecki teorię Galla znał z jego listu do barona Ratznera, opublikowanego w „Neuer Deutscher Merkur” w 1798 r. W liście tym Gall wyłożył w skrócie swą teorię. Śniadecki najwyraźniej zainteresował się nią i ocenił jako *noszącą cechy geniuszu i oryginalnej śmiałości*, a nadto *zawierającej nasiona prawd ważnych*. Ale te uwagi, podobnie jak sama teoria Galla pozostały w nauce polskiej niezauważone. Jak zwykle w takich razach bywa, źródłem wiedzy o frenologii były nie dzieła Galla, Caldwella czy braci Fowler, ale żadne sensacji gazety. Stąd też frenologia znana była raczej w swej jeśli nie karykaturalnej, to w każdym razie sensacyjnej postaci. O „systemacie Galla” jest nawet wzmianka w napisanym w 1833 r. przez Słowackiego *Kordianie*. Kiedy w 1839 r. w teatrze krakowskim miała być wystawiona melo-drama *Czaszka zbójcy, czyli systemat Galla*, w prasie ukazał się krótki, anonimowy wykład frenologii. Kończył się on złośliwym komentarzem, że kiedy w 1828 r. zmarł Gall, ciekawi lekarze poddali jego czaszkę badaniom według podanych przez niego zasad i kryteriów. Okazało się, że *w stosunku do czaszki, mało miał mózgu*. Ponieważ Hechell był członkiem dyrekcji teatru, można zasadnie podejrzewać w tym artykule jeśli nie jego pióro, to w każdym razie inspirację.

Bawiąc w Anglii, Hechell interesował się frenologią, odbył wiele spotkań z angielskimi przedstawicielami tej szkoły, wśród nich m.in. z uczniem Galla i J.G. Spurzheima, Jamesem de Dalle, autorem pracy *Manual of Phrenology*. Książkę tę Hechell nabył w Londynie i starannie przestudiował, zachowując jednak dystans do tej teorii. Odtąd jednak zainteresowania kryminologiczne stale będą towarzyszyć krakowskiemu medykowi sądowemu, a jeden z nich, Leon Wachholz, sta-